Konto czekowe P. K. O. 408.160.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Cena numeru 25 gr.



Rok V. Nowy Sącz, dnia 15 stycznia 1931. Nr. 1.

Nowy Rok.

W noc marzeń i snów czarownych, kiedy myśl błądzi gdzieś w krainie ułudy, zgrzybiały i znienawidzony Rok Stary rachuje uderzenia zegara. Aż wreszcie radosne usłyszał głosy — wie, co to znaczy — dla niego to śmierć

Ustąpić musi Rok Stary — tyran i okrutnik, aby miejsce zrobić młodzieniaszkowi, co z pochodnią nadziei w ręku zstępuje na ziemię i obejmuje opustoszały tron.

Witają go radosne wrzaski, bo każdy wierzy, że on, Rok Nowy będzie tym, co spełni nasze marzenia, przyniesie nam radość i szczęście, choćby ono miało trwać przez jeden tylko dzień — dzień czarownej, beztroskiej ułudy.

Wierzymy i my w ten Rok Nowy, wierzymy mu bezgranicznie i czcimy niemal bałwochwalczo, żądamy od niego szczęścia, żądamy wiecznej radości.

To też radością błyszczą nasze oczy i nie tracimy swej wiary i ufności w spełnienie naszych marzeń, nieraz większych nad sądy ludzkie.

Wiara ta bowiem jest naszą jedyną ostoją, jedynym głosem, co nie pozwala nam zwątpić w swe siły. Słabe może są nieraz one, ale zato hartowne w ogniu przeciwności i zbrojne nieśmiertelną ideą współpracy.

Pod Jej walcząc sztandarami, witamy nimbem nadziei uwieńczone dziecię:

Witaj nam Roku Nowy!



Faron Piotr
stud. praw. b. uczeń gimn. I.

Z NOWYM ROKIEM

Trzeba powziąć z Nowym Rokiem
Wiarę mocną w własne siły,
Za czem pójdzie szybkim krokiem
Czyn hartowny i prawdziwy.

Trzeba wskrzesić w sercu męstwo,
Które każe czynić wszystko;
Trzeba rzucić niedołęstwo
I do pracy brać się szybko.

Trzeka nam dzisiaj złożyć ślub,
Że w imię spólnego braterstwa
Połączymy się w zwarty klub
Wiary, Czynu, Bohaterstwa.

Wiarą w własne siły zbrojni
Idźmy przez ten Nowy Rok —
Niech się serce rozpromieni,
Niechaj nie zna, co to mrok.

Irena Gargulanka.

CIENIE

„Ej! milsza śmierć nam niż carskie okowy,
więc na śmierć pójdziem, gdy tak każe los".
(K. Łukasiewicz).

Poszli! W styczniową, mroźną zawieruchę, nadzy prawie i zgłodniali, nie oglądając się na nic. Cel im przyświecał wielki i święty! — wszak walczyli o wolność Ojczyzny! Wchłonęły ich bory ciemne i głuche... A gdy ginęli w leśnych ostępach, marsza żałobnego grał im wiatr... Ginęli jednak z radością, bo dusze ich ulatujące w zaświaty, widziały Polskę rozkutą z kajdan, wolną i silną!

— — — — — — — — — — —

Gdy Wielopolski ogłosił „brankę", porzucali pałace, dworki i strzechy, opuścili wszystko co mieli najdroższego. — Pożegnanie wzrokiem, bo ze ściśniętego bólem gardła słowa żaden wydobyć nie mógł.

I ciągły szept... nie zobaczysz ich już.. nie powrócisz... ostatni raz... Skłon nad ręką matki, pocałunek i... wybiegł na śnieg i mróz.

— — — — — — — — — — —

Od jasnego tła śniegu odbijają się ciemne sylwetki jakichś ludzi. Powstańcy. Starsi siedzą nieruchomo, rozmawiając spokojnie i poważnie, młodzi co chwila wybuchają niefrasobliwym śmiechem. Tak im dobrze razem. Układają plany bitew, walczą razem, razem opłakują przez wroga zabitych kolegów i razem śnią o przyszłej, wolnej już Polsce!

— — — — — — — — — — —

Mija parę tygodni. Powstańcom coraz gorzej. Szeregi ich znacznie się przerzedziły. Jedni zginęli w potyczkach, drudzy z głodu, a inni pomarzli. I teraz żywność też już wyczerpana. Osaczeni, znikąd nie mogą jej wydobyć. Pozostaje rada: przekraść się do któregoś z okolicznych dworów. Ofiarni — wszyscy. Jeden tylko może iść. Los. Czarna gałka. Poszedł...

Szczęśliwie przeszedł puszczę, potem kawał otwartej przestrzeni i dobiegł do jakiejś wioski. Przenocował u księdza Polaka i ruszył dalej...

Zdala majaczył znany, kochany park i okna dworku. Z bijącem radośnie sercem przyspieszył kroku. — Huk... Piekący ból w plecach. Przed oczyma zawirowały mu czerwone płatki, nogi zachwiały i runął w biały, puszysty śnieg. Niedaleko... Matka... Koledzy czekają... Wstaje... parę kroków — i upada, by nie powstać więcej.

Jasna, kryształowa jego dusza uleciała na ostatni apel i tam, przed tronem Boga prosiła o zmiłowanie nad ojczystym krajem.

A śnieg padał i padał, usypując mogiłę.

— — — — — — — — — — —

Lecz nic nie ginie i nic nie marnieje,
nowa się zorza z krwi rozlanej nieci.
Dziś, kiedy wolność Polsce już się śmieje,
wspominać będą bohaterów dzieci
ów rok, w nieszczęścia płodny i w na-
[dzieje,
rok krwi i bólu — sześćdziesiąty trzeci!...



Szkaradek Stanisław
Sem. St. Sącz — i S-ka.

W góry! w góry miły bracie!

(Z wycieczki na nartach do Pienin).

„Cudze dobrze wiedzieć jest,
a swoje potrzeba".
J. M. Fredro.

Siedmiu nas było... szaleńców (chłopów morowych): Mietek „Baca" organizator wycieczki, Władek pospolicie „Dzięciołem" zwany, Władek „Fakir", Władziu „Artysta" niedoszły, co ciągle marzy o....?! — „Adalfek" najpiękniejszy młodzieniec „Bryjowa", żal się Boże z wielkim żołądkiem „Pubciu", „Bokser - Śmierci" i ja (zawsze cztery razy na rok ja), ostatni uczestnik wycieczki.

Chciwi wrażeń i przygód, postanowiliśmy zrobić wycieczkę do Pienin na nartach.

Gadu, gadu i uradziliśmy, że wybierzemy się zaraz w niedzielę, po rozpuszczeniu nas z „budy". — Przygotowania trwały bardzo krótko. W mig załatwiliśmy wszystkie wycieczkowe formalności, t. zn. po naszemu „magja widzialna". Wyładowawszy plecaki, wyruszyliśmy w podróż...

Na stacji... czekamy, czekamy...

Niewesołe było to nasze czekanie, zwłaszcza, że przyszliśmy nieco wcześniej, bo już o 9-tej, a pociąg odchodzi dopiero o g. 11-tej.

Jedzie!... Ostry świst przeszył powietrze, zadygotały ściany i pociąg już dojeżdżał do stacji.

Słońce świeciło, rzucając snopy złotych promieni na dachy magazynów, ziemia lśniła się między niciami szyn.

Pociąg wjeżdżał na stację niby koń rozścigany... Wstrzymany osadził się na miejscu. Olbrzymie pulmany świeciły oknami, kilkanaście osób wyglądało z wagonów.

Wsiadamy... z lękiem w sercach, czy aby uda się gapa?!...

Pociąg ruszył, jedziemy... Mijamy Stary Sącz, nic i nikogo..

Barcice! Nie?!..

O zgrozo! — Za Barcicami wchodzi tak oczekiwany konduktor...

Brrr... zimno, ciarki przeszły całe ciało, począwszy od dziurawych butów, a skończywszy — jak zwykle — na dziurawej czapce studenckiej.

Cisza... zapanowała wkoło, złote nasze humory uleciały...

— Proszę bilety!... Jak zgrzyt żelaza po szkle, ozwał się chrapliwy głos konduktora.

Cisza...

— Proszę bilety!!

— Zaaraz — ozwał się pierwszy Władek, który cieszy się względami u konduktorów.

Z całym też impetem ratował sytuację. Z początku szło trudno. lecz „stary" dał się udobruchać (oczywiście „płaściuchami") i odszedł, mrucząc coś niezrozumiale.

— A to ci jakiś burczymucha — ozwał się dopiero po chwili Mietek „Baca".

— W żołądku mu burczy — dociął Władek „Dzięcioł", rozpierając się wygodnie na ławce.

Rezon utracony temi odwiedzinami konduktora wracał... i miło spędziliśmy resztę drogi.

Piwniczna! Wysiadamy, robiąc jak najwięcej marsowo-narciarskie miny.

Szliśmy drogą wzdłuż doliny Czerczu. — Koło „Leśniczówki" założyliśmy już „deski" i jazda!... Niesporo szło, bo niesporo, ale coraz to bliżej było do Obidzy.

Po długich „drapaniach" się w górę, podczas których „Pubciu" złamał nartę, co przypisaliśmy jego ogromnej tuszy, wyszliśmy na szczyt Obidzy (927 m wys.), przez który przechodzi granica państwa.

Słońce kryło się już za góry, rzucając ostatnie promyki na ziemię. Na niebo wystąpiła świetlista łuna, ozłacając lasy, góry.

Cisza panowała wkoło jakaś uroczysta — niezmącona...

Drzewa stały ponuro, otulone srebrzystym puchem.

Na ciemnym firmamencie nieba wystrzeliły ostre szczyty Tatr, kąpiące się w morzu jasności, że zdało się, jakby ogarnione były pożarem...

Staliśmy zapatrzeni w to cudo natury, ogniste góry, nie śmiejąc słowa przemówić, bojąc się, by cudne to zjawisko nie znikło...

Nawet „Pubciu", co całą drogę twierdził, „że człowie żyje poto, aby jadł", stanął jak wryty, zachwycony przecudnym widokiem Tatr. — Śliczne!... Cudowne!... — bąkał coraz ciszej i ciszej...

Żołądek jego, ogromnych rozmiarów, począł falować i stał zapatrzony dysząc ciężko, jak stary, dziurawy miech kowalski.

Długo się biedak patrzył wdal, nie mogąc pojąć tych śliczności.

— Eee! Zna się krowa na sianie! — dociął mu „Baca", którego korcił ten zachwyt.

— Daj spokój Mietek! — upominał „Dzięcioł"; — ty to jak pies zawszebyś szczekał.

— Dość tego! Nie samem słowem człowiek żyje, czas się posilić — zawyrokował Władek (no ten niby „Artysta" niedoszły...) i począł zdejmować plecak, z którego wyjął metrowy kawał kiełbasy, zaręczając przytem głośno, że brak mu apetytu...

Po posiłku ruszyliśmy w dalszą podróż, zostawiając „rozkrochmalonego" „Pubcia", który z powodu złamanej narty wracać musiał do domu, narzekając na „pech".

Zmierzch już zapadł na świecie i po nocy jechaliśmy w dół do Jaworek na nocleg.

Wieś Jaworki, położona w kotlinie między górami, jest wsią ruską, w środku stoi cerkiew na wzniesieniu, u stóp którego szemrze cichą melodją zamarzły strumyk. Na końcu wsi ciągnie się wąwóz Homole, dochodzący do Wys. Skałek (1051 m wys.), które są najwyższymi szczytami Pienin. — W wąwozie tym znajdują się przepiękne wodospady, oraz czerwone wapienie, dominują turnie ogołocone z lasów, dochodzące do 100 m ponad dno wąwozu.

Nazajutrz rano, po wypiciu ogromnej ilości herbaty, na co ze zdumieniem patrzyli tamtejsi Rusini, ale objaśnił ich zaraz Władek „Fakir", że pijemy na zapas i dał nawet przykład wielbłąda, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przy przejeździe oglądamy ruiny zamku Rabsztyn, niewidoczne wówczas z powodu śniegu. Zwiedzamy na odległość (83 m dł.) grotę Jarmutę, której jeden korytarz jest jeszcze niezbadany. Wewnątrz groty spotkać można okazałe stalaktyty i stalgmity, w XVI

Aleksander Wapiński.

Opowiadanie w listach.

Kochany Wuju!

Przepraszam bardzo, że znów muszę Cię nudzić, ale widocznie los się na mnie uwziął.

A więc naprzód podarły mi się zelówki i muszę prędko dać do szewca. Nie chciałbym się zaziębić, bo choć o życie nie stoję już teraz, ale przecież karnawał, zabawy!

Muszę Cię Wuju prosić o pieniądze na zelówki w kwocie 7 zł. Acha! prawda — nie mam spodni wizytowych, no i nie mam pieniędzy. A kosztują one, już takie najgorsze, 95 zł. Co to taka mała kwota dla Wuja, — wiem napewno, iż Wuj mi nie odmówi. Cieszyłbym się także bardzo, bardzo, gdyby Wuj przesłał mi mały upominek na imieniny, albo odpowiednią sumkę, a ja ją zużytkuję umiejętnie. Sądzę, że sumka wyniesie najmniej 35 zł, bo tyle potrzebuję na koszulę twardą i ciemną cyklistówkę. — Razem 137 zł. To mi narazie wystarczy.

Jak mi Wujaszek przyśle, w co nie wątpię — to Go będę bardzo kochał.

Kochany

Julek.

Nowy Sącz, 5 listopada 1930 r.

***

Wujaszku!

Odebrałem wczoraj popołudniu pieniądze w kwocie 120 zł, za co częściowo jestem Ci wdzięczny. Rozgniewało mnie, iż nie napisałeś ani słowa. Ale co się mam martwić.

Wujaszku! przysłałeś trochę za mało, wiesz sam, a jeżeli nie, to winieneś wiedzieć! Zdaje się, że dostanę jeszcze 100 zł, ponieważ są mi bardzo potrzebne. Mam wypłacić długi w kawiarni, wiesz której — i za papierosy w kiosku.

Wujaszku! Od tego czasu, gdy dostałem pieniądze, każdej nocy Cię widzę, dającego mi papier z napisem: 50 zł. Oby to było naprawdę — a uwielbiałbym Cię.

wieku natrafiono tutaj na pokłady miedzi, grotę przeto powiększono, w wykopaliskach zaś znaleziono urny prasłowiańskie, co jest dowodem, że bardzo dawno już tam mieszkali Słowianie.

Po zwiedzeniu groty, przez Koguci Wierch, Kotkę zjechaliśmy do skały Hukową zwanej od wielkiego huczenia wody Dunajca.

Następnie jechaliśmy drogą wzdłuż Dunajca, przez kryty most [styl podhalański] wąską „percią góralską“ na polanę pod Czertezikiem.

Z powrotem mieliśmy zamiar jechać Sokolą Percią, lecz z powodu bystrych bardzo upłazów, musieliśmy ją ominąć.

Warjantami ominęliśmy Czerwone Skałki, Burzynę, gdzie bystrym zjazdem zjechaliśmy na przełęcz Burzynę i lasem do Dunajca — łamiąc przytem obaj z „Bacą“ „deski“.

Zjazdu tego żaden z nas nie zapomni.

Pierwszy jechał „Baca“, podskakując jak zwarjowany na nartach. Przypatrując się z góry modliłem się: „Boże, daj mu lekką śmierć“, — bo naprawdę straciłem nadzieję, bym go mógł jeszcze zobaczyć żywego. — Znikł mi zupełnie z ócz i nagle mnie porwała ochota szalonej jazdy. Ruch jeden — i już mnie niema na górze. Dech zamarł mi w piersiach, tchu nie mogłem złapać, ale myśląc: co ma wisieć, nie utonie, jechałem co za przesada — pędziłem, tak! tak pędziłem, bo i trudno zawracać było z powrotem Nieprawdaż?!...

Podskok jeden, drugi i bęc na coś... Nawet oczu nie otworzyłem z przerażenia, co to było, jęk jednak, jaki wydawało z siebie to „coś“, wskazał mi, że to był nasz „Baca“. Sapał ciężko, że aż ogromne kłęby mgły się wytworzyły wkoło i zasłoniły świat.

— O joj!... Umirom.. — jęczał „Baca“.

Aż mnie straszna złość chwyciła i począłem też zaraz:

— Do stu patyków! Będziesz cicho! Pocoś jechał?!

— A pocoś ty jechał?! Żeby cię..! Cicho, cicho... gadasz, jak głową orałem...!

— No i cóż? Siana ci się trochę wytrzęsło — dociął mu Władek „Dzięcioł“.

— Dzięciołku, ptaszku maleńki, czyś widział, czyś słyszał, jak sieją mak?... — odciął „Baca“, dając mu cios nartą w sam... żołądek...

Nadszedł wnet i Władek „Fakir“:

— Nie! psia mać, warjactwo, choroba, narciarze, cóż to?! Nie ruszają się...

Jest Ci także wiadomem, iż mam zamiar wyjechać na Maderę; pragnę zwiedzić Włochy, Grecję i Palestynę. Brakuje mi trochę pieniędzy, a mianowicie tysiąc dolarów. To przecież na takiego bogacza, jak Ty Wujaszku, to tyle, co dla mnie 50 zł. Czy nie tak?

Doprawdy, Wujaszku, już sobie wyobrażam, jak ja się będę bawił na Maderze, a najbardziej i najdłużej w Palestynie, tak tam miłe życie.

Bądź zdrów, a przyślij w tym tygodniu, bo wyjeżdżam.

Julek.

Nowy Sącz, 11 listopada 1930 r.

***

Słodki, Anielski Wujaszku!

Donoszę Ci, że jestem zdrów, wesół, zadowolony i zarazem winienem Ci być wdzięcznym, iż przysłałeś mi tę sumkę. Choć w całości mi nie wystarcza. Ale wiem, że Ty masz boskie serce, więc jeszcze raz taką niespodziankę mi zrobisz, ale szybko! Adres mój już masz, ponieważ zaraz posłałem Ci iskrówkę z miejscem pobytu i adresem.

Podróż naprawdę jest piękną. Ale wiedz Wujaszku, iż jeżdżę samolotami, więc podróż krótko trwa. W Paryżu dowiedziałem się od Twego przyjaciela pana Łukowskiego, iż postarzałeś się, że jesteś chorowity, oraz że cały majątek w wartości najmniej 3 miljardy dolarów zamierzasz mi zapisać w testamencie.

Spodziewam się przyjemnie spędzić moją podróż, o której Ci opowiem dokładnie w przyszłości, a o której stale będę się starał Ciebie informować.

Uważam, iż pamiętasz Wujaszku Anielski, co pisałem na początku listu. Żegnam Cię Wujaszku z tem przekonaniem, iż to wypełnisz.

Bądź zdrów!

Julek.

Madera, 17 listopada 1930 r.

[C. d. n.]

— Nie miała baba kłopotu — dopowiedział „Dzięcioł“.

— Nasypali!... Wstaaawać... No!

Ale, ani ja, ani też Mietek wstawać nie mieliśmy ochoty, tylko jednem okiem ocenialiśmy sytuację, obserwując każdy ruch „Fakira“. Jakoteż zaraz się zakrzątał koło swego plecaka, coś wyciągnął i jak djablik przyskoczył do mnie, dając mi powąchać. Zerwałem się, czując zapach wina i dalejże go prosić:

— Królu „Fakirze“, kropelkę, odrobinkę!

Ale Władek z miną triumfatora zatkał ją z powrotem korkiem. Uciekłem się tedy do fortelu i rzuciwszy się na ziemię, zajęczałem jak smok.

To poskutkowało. Przybiegł do mnie i zaczął po swojemu:

— Co ci to?! Hę?

— Koolka — zajęczałem,

— A psia mać! Nie lubię, a psia, napij się, to przejdzie.

Chwyciwszy w ręce, ciągnąłem.

— Dość, psia mać! Dość! A psia, ciągnie jak bąk, nie lubię psia...

Gadaj sobie, myślałem i oddałem manierkę Mietkowi, który ją wypróżnił do reszty i zawołał o „repetę“; zapomniał biedaczek, że to nie obóz.

— Repetę?! Hę?! Z koziego mleka, poczwaro! — zaczął znów swoje „Fakir“.

Po wypoczynku ruszyliśmy dalej do Jaworek, ale niestety nie wszyscy na nartach.

Obaj przeto z Mietkiem zostaliśmy wtyle, wyrzekając się jazdy na złamanych „deskach“. Dopiero późno wieczór dowlekliśmy się do Jaworek i po wypiciu znów jeszcze większej ilości herbaty niż rano, żegnani przez zebranych tam Rusinów na „weczerki“ (wieczorki), ruszyliśmy w drogę powrotną do Piwnicznej, zawodząc żałośnie z „Bacą“:

„Ach! zaczim je ta nocz
Biła tak chorosza
Nebobiła se chriat'
Nertra dała b dusza
Polubił ja je ju
Polubił charjasza
A ona na ljubaj
Smaotrit hołodna“...

Echo porwało pieśń i niosło gdzieś daleko, daleko..

Miła i pełna wrażeń była ta podróż powrotna w nocy, ale, że spałem przez całą drogę ze zmęczenia, opisywał jej nie będę, a „bujać“ nie chcę.



W POCIĄGU.

(Podsłuchana rozmowa, opisana w formie djalogu).

Kto często podróżuje, nieraz może usłyszeć ciekawe rozmowy, prowadzone przez podróżnych. Jadąc ostatni raz do Krakowa, wsiadłem do pociągu, szukając wolnego miejsca. Miałem jeszcze pół godziny czasu do odjazdu, pół godziny męczącego oczekiwania, pół godziny nudów.

Wreszcie usłyszałem sygnał; zgrzytnęły koła, odetchnęła całą parą maszyna, puszczając olbrzymie kłęby dymu, jakgdyby dla nabrania większej siły i powoli pociąg ruszył ze stacji.

Sam jeden siedząc w przedziale, patrzyłem na mijające krajobrazy, nudząc się okropnie.

Tak samotnie dojechałem do najbliższej stacji. I znowu zgrzytnęły hamulce o koła, zadrżał cały pociąg, jakby otrząsając się z szalonej jazdy.

Wsypało się mrowie ludzkie, zalewając cały peron, niby rzeka po wiosennych wylewach, zalewająca pobliskie pola.

I znowu sygnał, poczęto pospiesznie wsiadać. Ziewając, oparłem się wygodnie o oparcie, albowiem miałem ochotę trochę się przespać, nim dojadę do celu podróży. Spokój i ciszę, jaka panowała w przedziale, przerwał hałas dwóch przekupek, sprzeczających się o coś, i jednocześnie gramolących się do przedziału, w którym się znajdowałem.

Usiadłszy niedaleko odemnie, składały pakunki, a ciągle sprzeczając się; wtem zamilkły na chwilę, by tem jeszcze bardziej się kłócić. Zamilkły, albowiem znowu wtoczyło się kilkunastu żydów, żywo coś szwargocących między sobą. Myślałem, że już koniec na tem, lecz nie, bo znowu weszły dwie panienki, śmiejąc się i przekomarzając między sobą. Stanęły na chwilę, jakby szukając oczyma miejsca, gdzieby mogły usiąść. Mało było miejsca, bo wszędzie rozsiedli się żydzi, a że naprzeciw mnie wolna była ławka, więc usiadły na niej. Lecz zaledwie usiadły, zamilkły jakby na komendę, a natomiast pilnie patrzyły na pojawiające

Uroczysty Wieczorek.

Wieczorek, dnia 9 grudnia 1930 r., był urządzony ku uczczeniu setnej rocznicy Powstania Listopadowego, przez uczniów kl. VII Gimn. I, z udziałem kol. uczennic VII kl. Gimn żeńsk. Młodzież dała wyraz swym uczuciom patrjotycznym, a zarazem udowodniła, że poza pracą szkolną nie marnuje czasu, lecz myśli o czemś więcej. W urządzeniu wieczorku znać było dobre chęci, które też dały dobre wyniki.

Z programu wstępnego należy podnieść przemowę, pięknie i rzeczowo ułożoną i również odpowiednio wygłoszoną przez kol. Wagnerównę. Chór mieszany gimn. żeńsk. i gimnazjum I-go, pod batutą p. prof. Budzynowskiej, wypadł też nieźle. Dodać należy, że koleżanki z gimn. żeńsk. stawiają na tem polu pierwsze kroki, bo śpiewu w gimn. się nie uczą. Wystąpienie to będzie może epokową chwilą.

Deklamacje wszystkie trzy dobre. Szczególne uznanie zyskała sobie malutka kol. Krzysiakówna.

Popisy orkiestry smyczkowej były przyjmowane z podziwem, gdyż orkiestra ta istnieje zaledwie niespełna miesiąc, a odegrała kilka „melodyj swojskich" pięknie i udatnie. [Na pierwszy plan wybił się kol. Goldberger].

Na drugą część wieczorku składały się dwa utwory sceniczne: „Noc w Belwederze" i „Jeden z wielu". Jako całość odegrane były dobrze, miejscami artystycznie; znać było pracę młodocianych artystów i — pracę reżysera p. prof. Janczego i p. B. Barbackiego.

W „Nocy w Belwederze" na pierwszy plan wybija się grą, wdziękiem, dobrym charakterem i miłością męża ks. Joanna [kol. Mrzygłodówna]. Jej mąż, w. ks. Konstanty [kol. Baran St.], starał się oddać swą trudną rolę, lecz mało było w gniewie zdenerwowania, głos i rozkazy były za łagodnie wydawane, jak przystało „dzikiemu" księciu i skrajnemu sangwinikowi, jakim był Konstanty. Grał jednak, jak na początkującego, dobrze. Pierwszorzędnie przedstawiał się zdrajca Rożniecki [kol. Kasina], sprzedawczyk i renegat, człowiek bez charakteru. Jemu podobnym był adj. księcia, Kuruta [kol. Baran J.]. W przedstawieniu go były małe usterki. — Łukasiński [kol. Dominik] wzbudzał naprawdę zgrozę i współczucie, a zarazem uwielbienie przez katusze i męki, jakie ponosił dla „sprawy". W grenadjerze Wasilewskim [kol. Barbacki] widzieliśmy typ

---

się i znikające krajobrazy. Nie wiem tylko, czy rzeczywiście tak ich zajmowały widoki, czyli też udawały, że ich zajmują.

Ciszę tę przerwało głośniejsze pytanie jednego żyda:

— Ty Moryc, dokąd ty jedziesz?

— Ja nach Krakau.

— Za interesem?

— Tak.

— A za jakim interesem?

— A czy ja się ciebie pytam, za jakim ty interesem jedziesz?

— No, Moryc, nie obrażaj się — ja się tylko pytam!

— No to się nie pytaj! — rzucił odpowiedź, wyciągając jednocześnie papierosa i zapalając go.

— Albo co?

— I, bo to niepotrzebny wydatek.

— Jak dla kogo — odrzekł: — kto ma, ten i wydaje. Ale nauczyłem się, więc muszę teraz palić — dodał tonem objaśnienia, — a co gorsza, nie mogę się oduczyć, choć chciałbym, bo to szkodzi na zdrowie.

— I, cobyś ta nie mógł! Wszystko można, jeśli się tylko chce.

— A ja ci mówię, że nie można! A jak ci się chce palić, to tak, jakbyś był głodny.

— Ny, co ty pleciesz? Jak jestem głodny, to jem i już, a nie muszę palić.

— Ty jesteś głupi! Ja znowu jak mi się chce palić, to palę, a jak mi się chce jeść, to również jem. Ty tego nie rozumiesz; co innego czuć głód palenia, a co innego głód do jedzenia. E, nie dogadamy się dzisiaj!

— Ty Moryc, lepiej mi powiedz, jak ci tam idą interesa?

— A jakże mogą iść teraz interesa? Bardzo źle!

— Aj! i jak źle!

Wtem zabrzmiał miły głosik:

— Wiesz co Władziu? że podoba się mi ten twój Stasio.

wiarusa napoleońskiego. Przedstawiony był udatnie. Piękny charakter przedstawiał podchor. Skałka [kol. Sołtys], który w obronie godności narodowej spoliczkował tchórzliwego a rozbestwionego żołdaka Stukotkina [kol. Humenny]. — Raport u Konstantego był dobrze oddany. Na uwagę zasługuje jeszcze pokojówka księżnej, Zuzia [koł. Strzelecka], z umiejętnością odegrana, oraz dobry typ kamerdynera, Jana [kol. Wętroba], który w krytycznej chwili ratuje swą panią i księcia. Udatnie odegrał oficera służbowego kol. Kłosowski.

W utworze „Jeden z wielu" zasługuje na uwagę dobra gra kol. Wątroby, w roli bohatera, Jana, który porzuca żonę [kol. Krzanowska], babcię [kol. Rogozińska] i dzieci, idąc w bój przeciw wrażemu Moskalowi. Dostaje się do niewoli, gdzie w więzieniu kusi go do zdrady szatan, którego b. dobrze odegrał kol. Barbacki. Przy końcu zjawia się majestatycznie, pełen czaru i wdzięku anioł [kol. Twardowska], z kielichem krwi, przelanej za wolność Ojczyzny. Panuje uroczysty nastrój, który wnet zamienia się na wesoły przez osobę ks. Skorupki [kol. Leśniak], który usłyszał zbyt głośno wypowiadane adoracje do niego ze strony... „lewej", co wywołało uśmiech na jego twarzy... Anioł ratował sytuację... Kurtyna zapadła... Całość jednak była dobra.

Uroczysty wieczorek zaszczyciło swą obecnością Grono PP. Profesorów, wśród których był także WP. Wizytator Kydryński.

Niestety, wieczorek ten spotkał się z małem uznaniem tutejszego społeczeństwa [dużo wolnych krzeseł], co żadną miarą nie powinno byó obojętnem dla niego. *G.*



L. M. i K.

zamiast

L. M. i Rz.

W dniach 25, 26 i 27 paźdz. 1930 r. odbył się zjazd Delegatów Ligi Morskiej i Rz. Wszyscy Delegaci bez żadnych sprzeciwów przyjęli nowy statut organizacji, zmieniający jej nazwę na „Liga Morska i Kolonjalna", a temsamem wysuwający na jedno z naczelnych miejsc w zadaniach tej Ligi realizację programu kolonjalnego — przygotowanego przez Związek Pionierów Kolonjalnych.

Od tej chwili 30 tysięcy z górą Polaków, zrzeszonych w tej organizacji, staje w karnym ordynku do walki o Polskę zamorską,

---

— Ech, daj mi spokój — odrzekła, lekko się rumieniąc Władzia.

— Cóż to się tak rumienisz Władziu na wspomnienie jego imienia? — odrzekła Jadzia.

— Ten twój Józio również jest ładnym chłopcem — odcięła się Władzia.

— Nie przeczę — rzekła Jadzia. — A czy wyjdzie na stację po ciebie, Władziu?

— Albo co?..

— Nie, tak się tylko pytam.

— No to się nie pytaj!

Dalszą dysputę przerwało stanięcie pociągu. Znów powstał chwilowy ruch: wsiadanie i wysiadanie z pociągu. Znowu gwizd, sygnał, już pociąg ma ruszuć, gdy wtem drzwi się otwierają i wsiadło dwóch młodzieńców. Siedli koło mnie, gdyż najwięcej było jeszcze miejsca, a może przyciągały ich urocze buziaki moich sąsiadek z naprzeciwka.

— Wiesz co, Józek? — mówi jeden z nich.

— Co-o t-akie-e-go?

— E, i ni-ic t-akie-e-go, tylko spać mi się chce.

— Głupiś! Lepiej popatrz, jakie śliczne sikoreczki siedzą naprzeciw nas!

— E, co mi tam!

— Nie udawaj lepiej!

— C-o-o m-a-am udawać?!

— No, no... znamy się na tem...

— Niby na czem?

— No, na tem udawaniu.

— Daj mi lepiej spokój!

— Udajesz niby obojętnego, a w rzeczywistości puszczasz perskie...

— Zamkniesz sobie!...

— Tylko nie wyjeżdżaj!...

— Lepiej dajmy temu spokój — rzekł Józek, siadając wygodnie, wyjmując papierosy i częstując przyjaciela.

— Przyznaj Józek, że mam rację...

— Niby jaką?

— No, niby nie wiesz?...

— Nie, nie wiem i daj mi spokój!

o prawo do życia naszego narodu na równi z innymi narodami, o ścisły związek między wszystkimi Polakami, których los rozsiał na globie ziemskim.

Oto zaczyna się ziszczać akt walki nieustępliwej o tych 7 miljonów rodaków, którzy zmuszeni są przebywać poza granicami naszej Polski.

* * *

Wysunięcie zagadnień kolonjalnych wiąże się także jak najściślej z dalszym rozwojem żeglugi morskiej, która czyni kraj potężnym, mocarstwowym.

* * *

Zjazd podkreślił, iż jeśli idzie o Pomorze i o Gdynię, to niema w Polsce ani stronnictw, ani ludzi różnych grup, — **jest tylko jeden Naród,** zdecydowany bronić do upadłego swego związku z morzem.

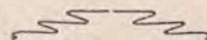
Z tem związana jest także rozbudowa naszej floty wojennej i handlowej do takiej potęgi, którąby była wyrazem **mocarstwowej Polski.**

* * *

Zjazd tegoroczny w Gdyni [III] toczył bez przerwy swe obrady w napięciu najszlachetniejszych uczuć, w atmosferze troski o najwyższe dobra Narodu.

Przewodniczącym zjazdu był generał G. Dreszer [Warszawa], członkowie: gen. W. Przeździecki, nacz. Wł. Oster, komandor St. Frankowski, dyr. F. Szczur; na sekretarzy powołano pp. J. Horocha, St. Kosko i Fr. Łypa.

Zjazd wysłał depesze hołdownicze do J. WP. Prezydenta Rzeczypospolitej, P. Marszałka J. Piłsudskiego i Min. E. Kwiatkowskiego. *A. W.*



Marjan Aksamit.

L. O. P. P.

Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej jest znana wszystkim pod literami L. O. P. P. Wytknęła ona sobie cel wielki i ważny, bo rozwój lotnictwa i przygotowanie ludności do obrony przeciwchemicznej.

Jest ona inztytucją społeczną, opartą na szerokim udziale społeczeństwa. W jej szeregi powinni zaciągnąć się wszyscy obywatele, bo im więcej będzie obywateli w jej szeregach, tem Polska będzie silniejszą, nie będzie się obawiała najeźdźców ze wschodu i zachodu, którzy tylko czyhają na to, by ją rozgrabić.

— O, patrzcie mi, jaki... — tu urwał, bo odezwała się jedna z panienek:

— Masz Władziu puder? Upudruj się trochę, byś była ładniejsza, jak wyjdzie Stasio!

— Cicho bądź! — przerwała Władzia, robiąc obrażoną minę.

Dalszych słów nie dosłyszałem, bo podniesiony głos zapanował nad innymi:

— Ty Moryc, a czem ty teraz handlujesz: płótnem, skóry, mąki, czy towary mieszany, czy też czem innem?

— Dawniej handlowałem towar korzenny, teraz płótno, a potem, czy ja wiem? Handluję, czem mogę.

Tu rozmowę przerwało zatrzymanie się pociągu, a głos konduktora oznajmił, że jesteśmy już w Krakowie.

— Patrz Jadziu! Stasio jest, szuka nas, spoglądając po wszystkich oknach.

— Ach! i Józio jest również — odrzekła Jadzia, chwytając prędko za teczkę i biegnąc ku wyjściu, a za nią Władzia.

— Patrz Józek — rzecze jeden z moich sąsiadów, — już mają towarzystwo! A ty tak strasznie paliłeś się do nich, ciągle robiąc perskie...

— Cicho bądź! — przerwał przyjaciel, zmierzając ku wyjściu, za którym pospieszył również kolega.

— Ty Moryc, nie pchaj się tak bardzo! — rzecze żydek. — bo mnie zgnieciesz!

— No, to się usuń!

— Kiedy mi się spieszy!

— I mnie również!...

Z temi słowami wyszli. Zostałem sam, chwyciłem za teczkę, wychodząc również na peron, a po chwili ogarnął mię gwar i zgiełk.



L. O. P. P. jako instytucja społeczna, rządzi się swym statutem, posiada swe władze: Zarząd Główny i Radę Główną z siedzibą w Warszawie.

Celem L. O. P. P. jest, jak określa statut w art. 3 § 1 we wszystkich jego dziedzinach, wszechstronne badanie środków obrony przeciwlotniczo-chemicznej.

Chcąc osiągnąć powyższe cele, L. O. P. P. propaguje ideę lotnictwa, naukę o gazach, popiera wynalazki z dziedziny lotniczej i chemicznej, oraz pisma naukowe. Wydaje pisma, dzieła naukowe i t. p., organizuje odczyty, kursa, naukę o modelarstwie i t. p., organizuje młodzież szkolną w osobnych kołach L. O. P. P.

Więc my, młodzież szkolna, którzy pragniemy dobra Ojczyzny, powinniśmy się zaciągać w szeregi członków L. O. P. P. gremjalnie i z tem przekonaniem, że silna L. O. P. P. — to silne lotnictwo, a silne lotnictwo — to silna Polska!



Kącik literacki.

Fundacja Nobla.

Upłynęło 30 lat od chwili założenia niezmiernie zasobnej fundacji Alfreda Nobla.

Trzydzieści lat mija, jak wielkoduszny Szwed testamentem swoim zapisał ogromne sumy na rzecz wielkich twórców światowych, a dążących dla przyniesienia ulgi cierpiącej ludzkości. Miljoner ów, a zarazem człowiek twórczy, oryginalny, po wynalezieniu dynamitu uczuł w sercu swojem bolesne wyrzuty sumienia, spostrzegł nagle, ile to kataklizmów może przynieść jego nieszczęsny wynalazek nędznemu mieszkańcowi ziemi. Postanowił wynagrodzić, otrzeć łzy cierpiących i w tym celu stworzył fundację, która miała popierać tych, którzy nie burzą, ale tworzą, nie tych, którzy niszczą, lecz sieją wielkie idee.

Laureatem Nobla w ubiegłym roku (1930) został słynny pisarz amerykański — Sinclair Lewis. Po raz pierwszy od czasu istnienia nagrody Nobla uczczono za zasługi na polu literackim Amerykanina. Zdarzenie nadzwyczaj ciekawe, tembardziej, że Sinclair Lewis wcale nie apoteozuje, nie unosi się nad kulturą Jankesów, raczej rzuca namiętne, gwałtowne oskarżenia przeciw płytkości, małości ludzi interesu, którzy dążą za wszelką cenę do zgnębienia jakiejkolwiek potężnej indywidualności. Ten gorący protest wyczuwamy z dzieł Sinclaira Lewina, jak: „Babbit", „Free Air", „Main Street" i „The Job".

* * *

Nasza literatura morska.

Morze w literaturze polskiej nie znalazło wielu piewców jego piękna, jego potęgi i grozy. Za mało zżyliśmy się z tym nieokiełznanym żywiołem. Fantazji naszych twórców nie pociągał urok morza.

O morzu z dawniejszych pisarzy opowiadali: Gruszecki, Żeromski (Wiatr od morza, Międzymorze), z młodszych Grabiński (Willa nad morzem) i Jerzy (— nie Kaden!) Bandrowski. Niedawno ukazała się piękna powieść o naszym Bałtyku Stefana Balickiego p. t. „Dziewiąta fala". Utwór czyta się przyjemnie, bo autor nie wprowadza do utworu kaszubszczyzny, co przeciętnemu czytelnikowi sprawia pewną trudność. Balicki opowiada dzieje duszy ludu nadbrzeżnego, wnikając w głębokie jej tajniki. Przybyło nowe dzieło o polskiem morzu!

* * *

Jerzy Szaniawski — otrzymuje nagrodę państwową.

Z końcem 1930 r. Jerzy Szaniawski (ur. 1887) otrzymał państwową, literacką nagrodę w wysokości 20 tysięcy złotych za dzieło dramatyczne p. t. „Adwokat i róże". Jerzy Szaniawski należy do lepszych, głębszych współczesnych dramaturgów. Jego dzieła: Murzyn 1917, Papierowy kochanek 1920, Ewa 1921, Lekkoduch 1923, Ptak 1923, Żeglarz i Adwokat i róże 1928, odznaczają się poważną myślą, starannością artystyczną. Zarzucają im zbytni intelektualizm, brak żaru uczucia, bezkrwistość. Jest ten poeta jednak mistrzem w rozwiązywaniu kompozycyjnych sytuacyj, toku akcji.

Do najlepiej zmontowanych sztuk należy Ptak, Żeglarz i Adwokat i róże. Jerzy Szaniawski — to pisarz rokujący wielkie nadzieje na polu dramatycznem.

***

Historja średniowieczna w nowej szacie.

Wybitny uczony i doskonały znawca średniowiecza prof. Uniw. Jagiel. dr. Jan Dąbrowski wydał podręcznik szkolny dla nauki historji wieków średnich. Za podstawę układu całości służy historja Polski. Nie zapomina Autor o oddziaływaniu kultury polskiej na kraje ościenne. Grupuje się mniej ważne wydarzenia koło głośniejszych i słynniejszych problemów kulturalnych i politycznych. Językowa szata książki nadzwyczaj staranna i poprawna. *(nb.)*



NASZE ŻYCIE

Święta minęły pod znakiem grypy. Grypa zapanowała niepodzielnie — zwłaszcza w naszej budzie, biorąc pod swe skrzydła nawet t. zw. „labiarzy". To też dopiero ślizgawka, jako jedyna atrakcja tegorocznej zimy, pościągała „grypiących się" młodzieńców z łóżek.

Zima bowiem jest tego roku rzeczywiście fatalna — zwłaszcza dla narciarzy, którzy z upragnieniem oczekiwali Nowego Roku, myśląc, że przyniesie im jaką zmianę na lepsze. Tymczasem Nowy Rok wcale się dobrze dla nas nie zaczął. Już samo to, że zamiast 8-go, musieliśmy do szkoły przyjść 3-go, źle o nim świadczyło. Humory nasze poprawiły się dopiero po wycieczce na wystawę.

Wystawa jest rzeczywiście piękna i godna zwiedzenia, zwłaszcza stoiska naszych uzdrowisk z dioramą Krynicy na czele, oraz piękna panorama Nowego Sącza wzbudzały ogólne zainteresowanie. — Wskutek jednak 10-cio stopniowego mrozu, sympatje nasze wkrótce zwróciły się w stronę skromnego, ale zato dobrze rozgrzanego żelaznego piecyka.

Na drugi dzień po zwiedzeniu wystawy, t. zn. we wtorek dn. 13. I. dowiadujemy się, że kino „Wiedza" wyświetla specjalnie dla młodzieży propagandowy film o Pomorzu w 6-ciu aktach, oraz dźwiękową komedję dwuaktową.

Ponieważ kino miało być wyświetlane o godz. 12-tej, nic więc dziwnego, że tłumnie wzięliśmy w niem udział. Jednakże spotkało nas rozczarowanie. Zamiast filmu o Pomorzu, pokazano nam jakiś zlepek, mający przedstawiać piękno naszej Ojczyzny. — Wszystko to razem, nie mówiąc już o treści, której nie było nawet za grosz — nie trzymało się kupy. Źle podklejona taśma rwała się co chwilę, wywołując powszechną wesołość. Wyzyskano to sprytnie, widocznie sądząc, że nawet w śmiechu potrzebne jest umiarkowanie, nie wyświetlono zupełnie zapowiedzianej komedji.

Chociaż prawdę mówiąc, nabito nas w butelkę, to jednak pocieszamy się, że daliśmy pieniądze na dobry cel, no — i przepadła ostatnia godzina, a za to też warto zapłacić.

L. W.

Sem. męsk. Stary Sącz.

W zakładzie naszym rozpoczął się kurs modelarstwa samolotów pod fachowem kierownictwem p. prof. Bojarskiego. Przewodniczącym jest kol. Karwat Włodzimierz z k. IV. Protektorat objął kurator Koła L.O.P.P. p. dyr. Płaczek Kazimierz.

W gronie naszem panuje radość nie do opisania. Żywimy bowiem nadzieję, że wkrótce każdy z nas latał będzie do szkoły na własnego wyrobu samolocie, bo ze szkoły i bez samolotu wylecieć można. Nieprawda?

Pst!... Na placu koło Sokoła w St. Sączu ma być urządzona ślizgawka dla młodzieży szkolnej. Robimy sobie smak — oby nie napróżno!

Nasze miłe koleżanki „z za muru" prawdopodobnie przygotowują sztukę sceniczną p. t. „Wiesław". Oczekujemy!...

Kol. Franek, który odtwarzał będzie Wiesława, ciągle biedaczek zawodzi, zwłaszcza po próbach: „Wspomnij mnie!" A jak nie?!

Rec. Sem.

KONKURS LITERACKI.

Teksty:

1. Darjusz król Persów i Medów, pan świata, Na harde ludy plaga i zatrata.

2. A nikt z ruin nie korzysta, Jeno wszczynający ruch Wieczny Rewolucjonista, Pod maską ciał leżący duch.

3. Nad ludami uderzą gromy, chmury się zapalą pożarem, W gruzy zapadną domy, ogień z niebios wyleci widomy.

4. Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje.

5. Senat cofa swój wyrok i stany złączone U nóg żony Augusta składają koronę.

6. Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną, Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną.

7. Gdzie jest taki, którýby tak odrazu przypadł do serca rycerstwu, aby nikt nie śmiał przeciw wyborowi jego szemrać?

8. Czarna sylwetka Stasia zarysowała się na jaśnieszem tle otworu jaskini.

9. Niema co, szkoła w Lipcach potrzebna, jeno na taką naczelnikowską nie powinno się dać ani grosika.

10. Tymczasem Glaukus skończył obmywać ranę i przyłożył do niej maść gojącą.

Prosimy o nadsyłanie rozwiązań!
Termin upływa z dniem 20 stycznia 1931 r.

WESOŁY KĄCIK.

W szkole (autentyczne).

Profesor: Dlaczego pewną grupę filozofów greckich nazywano stoikami?

Uczeń: Dlatego, bo oni nauczali stojąc!

W tramwaju.

— Czemu zamykasz oczy?

— Bo nie mogę patrzeć, jak ja siedzę — a kobieta musi stać!...



Dział oficjalny

dwutygodnika młodzieży „Lot" w Nowym Sączu.

Dnia 10 stycznia odbyło się zebranie Redakcji „Lotu", na którem po omówieniu spraw administracyjnych przystąpiono do zreformowania wysyłki. Mianowicie skreślono niepłacących abonentów, podwyższając jednocześnie prenumeratę o 5 groszy na numerze.

Odtąd więc prenumerata kwartalna (z wysyłką) będzie wynosić 1.80 zł.

Odpowiedzi Redakcji.

Peef. Zbyt banalny — nie umieścimy.

Tonka. „Pospolitego ruszenia" nie umieścimy. „Pychę germańską" o ile będzie miejsce umieścimy w następnym numerze. „Warjactwa" dobre, ale niektóre rzeczy trzebaby zmienić.

Kupon do Nru 1-go.

„LOT" Imię i nazwisko nadsyłającego odpowiedzi zagadek: „LOT"

Kupon należy wyciąć i przysłać razem z odpowiedzią.

Cena numeru pojedynczego 25 gr
Prenumerata: kwartalnie . 1·80 zł
SKRYTKA POCZT. Nr. 127.

Adres Redakcji i Administracji:
Nowy Sącz, ul. Jagiellońska, Gimn. II.
Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor odpowiedzialny: Prof. **Bolesław Nytko.**
Komitet redakcyjny uczennic i uczniów szkół średnich w Nowym Sączu
Drukarnia A. Mółka — Nowy Sącz, Pijarska 15.